

ROZMAITOŚCI.

Dnia 9. Marca.

Nr 10.

Roku 1859.

Założenie państwa Kentucky.

Według dzieła niemieckiego: „Pierwsi Amerykanie na zachodzie.“

(Ob. Nr. 9. Rozmaitości.)

III.

Pierwsze okolice nowej krainy.

Z każdą nową godziną stawiała się dalsza podróż coraz powabniejszą. Mały strumyk, co wytrysnął z pośród ścian wąwozu, weszła i rozszerzył się w poważną rzekę, a płynąc w rozlicznych zakrętach, wnet w płytkim wnet w głębokim korycie, tworzył w pewnym chropowatym skalistym wądole przepysznym wodospad, który dziś nie mało ciekawych zwabia podróżnych.

Ameryka posiada jak wiadomo liczne katarakty, gdzie nagły gwałtowny spad rzeki wspaniałym oczom przedstawia widok, strumień kumberlandzki nie spada wprawdzie z wielkiej na dół wysokości, wszakże katarakta jego jest jedną z najciekawszych.

Powstrzymywane skałami fale rzeki, toczą się z początku zwolna, szumiąc i pieniając się ciągle, a nieraz wyziera z koryta oblały dookoła na sto stóp wysoki szczyt chropowaty. Dopiero nagle w otoczonym skałami wądole, spada strumień z wysokości 37 stóp z takim hukiem i szumem na dół, że podczas pogody słychać go najinniej o milę w dali.

W pobliżu wodospadu szczególny przedstawia się widok. Ogłuszone lub zabite w upadku ryby, zwabiają tu mnóstwo innych ryb drapieżnych, które uganiają się za zdobyczą. Jedne i drugie zaś przynęcają całe gromady różnych ptaków wodnych. Bezustannie krąży czaple nad wodą lub zaczajają się w krzakach i na drzewach u brzegu; rybitwy przysiadają nieruchomo na skałach lub brzegach,

nagle lotem błyskawicy rzucają się po zdobycz i znowu na dawne wracają miejsca. Wielki i drapieżny jastrząb czyli sokół wodny (*Pandion haliactus*) nurza się w prąd wody, ilekroć z szczytu skały większą jaką spotrzeże rybę, a unosząc zdobycz, wydaje zawsze donośny krzyk radości. Na szczycie jodły czatuje tymczasem większy i silniejszy biało-głowy orzeł (*Haliactus leucocephalus*), piękny, śmiały i chyży w locie ptak, którego Stany zjednoczone przyjęły do swego herbu. Z wierzchołka drzewa nie patrzy on w wodę lecz śledzi pilnie jastrzębia, a jak tylko wzleci z zdobyczą w szponach, orzeł rzuca się za nim. Obadwa wspaniałe ptaki prześcigają się teraz w zawody, jeden chciałby umknąć, drugi dopędzić przeciwnika. Obciążony zdobyczą jastrząb unosi się rychło i puszcza zdobycz ze szponów, a orzeł jak błyskawica rzuca się za nią i pochwytuje ją w locie, nim jeszcze spadnie na ziemię. Czasami tylko zdarza się, że kilka jastrzębi przyjdą w pomoc przśladowanemu towarzyszowi, a wtedy orzeł mniś co temu uchodzić z pola.

Prześlicznie wyglądają nad wodą różnobarwne czaple i inne ptaki wodne, mianowicie takzwana czapla Herodias z wysokim jasnoniebieskim pióropuszem na głowie, a o mieniących się niebieskich, białych i pomarańczowych piórach na skrzydłach i ogonie, takzwana śnieżna czapla z białymi jak mleko piórami i innego rodzaju czaple o wielce żywych, zielonych i szkarłatnych piórach, tu-

dziez lekka i zwinna rybitwa z czubkiem na czole.

Jak gwarne i ożywione były brzegi tak pełne najrozmaitszej zwierzyny i wszystkie pobliskie lasy i gęstwiny. Im dalej zapuszczali się podróżni w głąb dzisiejszego Kentucky, tem częściej natrafiali na całe gromady jeleni, co stają spotykali pojedynczych niedźwiedzi i liczne roje wiewiórek po drzewach.

Wszakże najciekawszy widok czekał ich dopiero w południowej części Kentucky. Śród nie wielkiej równiny, zarostej trawą i drobnymi krzewami, ujrzeli zdala jakiś punkt czarny jakby mały pagórek. Finley zgadł zaraz, że to bawół samotny. I w samej rzeczy było olbrzymi hawół, który jakimś przypadkiem oddalony od trzody, wypoczywał spokojnie na murawie. Nie domyślając się żadnego niebezpieczeństwa, pozwolił przysunąć się podróżnym tuż w swoje pobliże. Nagle podniósł swój wielki ciężki łeb, i wlepił w nieznanym natrętów swe zdziwione, małe, błyszczące oczka. Wyraz jego głowy jest tak dziki i zuchwały, że ktokolwiek ujrzy go raz pierwszy musi mimowolnie pomyśleć o swej obronie. Przypatrując się z ciekawością długiej brodzie, grzywie i kosmatemu karkowi zwierza, wymierzili nasi podróżni swe strzelby. Bawół tymczasem podniósł się leniwo z ziemi, a wyciągając się powoli jak swojski wół, przedstawił się w całej swej niezgrabnej, garbatej postaci. Potem zamachnął ogonem w prawo i w lewo, poskoczył naprzód i ciężkim ale coraz prędzszym galopem zaczął umykać w dal.

Ciekawi wszelkich poruszeń zwierza nie mieli podróżni czasu dać ognia, i opamiętali się dopiero kiedy im znikł z oczu.

Pozwalając podróżnej drużynie przesunąć się tak blisko siebie, objawił bawół niezwykłą u swego rodzaju odwagę. Na pierwszy bowiem szelest obcy umykają zawsze całe stada, a bardzo trudno myśliwcowi podejść je z nienacka.

W ogóle jednak widać było u wszystkich zwierząt, że nie widując nigdy lub bardzo rzadko człowieka, nazbyt mało obawiali się nagłego zaskoczenia.

Pokazało się to najlepiej, kiedy podróżni po kilku godzinach natrafili na małą gromadę jeleni, które spokojnie i swobodnie obgrzyzały cienkie gałęzie drzew. Posłyszawszy nagły szelest, ponastrzeżały uszy w zadziwieniu, i

obracając nadobne głowy z naprzód wychylonemi rogami, wypatrzyli się na podróżnych swemi wielkimi, lśniącymi, niebieskimi oczyma.

Naraz padł strzał, a jeden z najpiękniejszych rogaczy powalił się ugodzony na ziemię. Wtedy nagły popłoch ogarnął resztę, i w jednej chwili pomknęły w głąb gęstwiny.

Jak ów pierwiej spotkany bawół tak i te jelenie zbłąkały się gdzieś od trzód swych, których właściwym przybytkiem była północna strona kraju.

Południowe Kentucky posiada wprawdzie urodzajne doliny jak niemniej sposobne do uprawy wyżyny, wszakże ziemia nie liczy się jeszcze w tych stronach do przedniejszej, a dziś jeszcze nadaje się mniej pod uprawę tytoniu niż pod uprawę pszenicy i chowu bydła.

Uboczne pasmo gór kumberlandzkich wbiegało daleko w głąb kraju, a jak gdzieniegdzie na szczytach gór widać było jeszcze dzikie świrki i drzewa karłowate, tak znowu na dolinach rozścielały się nieprzejrzałe kobierce bujnej, jasno-zielonej, jak aksamit lśniącej trawy. Zielonej trzciny, tej najgłówniejszej właściwości kraju nie spotkali jeszcze podróżni w tych okolicach.

Dopiero, gdy przebyli rzekę Kentucky, i stanęli na szczycie wysokiej, odosobnionej góry, odsłonił im się nagle widok, który daje najlepsze wyobrazenie o żyzności i bogactwie krajo nagrodził im w jednej chwili wszystkie zaznane dotychczas trudy i dolegliwości.

Przed nimi ciągnęła się daleka, nieprzejrzana równina, pełna najpiękniejszych drzew i krzewów, okryta całą wysoką, świeżą, kołysaną wiatrem trzcina. Drzewa były bez wyjątku wysokie i rozłożyste, nie widać było między niemi ani uschłych i spróchniałych ze starości pniaków jak w lasach pierwotnych, ani też drobnych karłowatych krzaków lub świeżych zarośli. Cała okolica wydawała się wleceć jakimś starannie utrzymywanym parkiem niż pustym i bezludnym ostępem natury.

Wysoka nieraz za 12 stóp, smukła, sękowata trzcina z długimi, wąskimi, jasnozielonemi liśćmi tworzyła taką gąszcz nieprzebytą, że z trudem przychodziło przedzierać się śród niej podróżnym, jeśli nie natrafili na ścieżki, wydeptane pochodem dzikich zwierząt. Tych zaś było bez liku, gdzie tylko

oko sięgnęło. Trzoda bawołów, złożona z kilku tysięcy, pasła się rozprószona śród obszaru, a bytność jej zwiastował ciągły chropowaty, przytłumiony ryk kilkuset gardzioli naraz.

W powietrzu krazyły nieprzeliczone stada sępów wnet w takiej odległości, że wyglądały jak jedna szeroka smuga czarnych kropek, a wnet znów tak blisko ziemi, że można było rozróżnić ich dzioby i drapieżne szpony. Czatawały bacznie, gdzie tylko jaki przypadek lub niemoc powaliły zwierzę z nóg i zaraz chmurami spadały na swoją zdobycz.

Z pomiędzy trzód bawołów, a gdzieś tam w osobnych kupach z pomiędzy zarośli wyglądały różnych kształtów i rozmiarów rogi jeleni, które przesuając się zwinnie wpośród gestwiny bezustannie strzygły długimi uszyna, jakgdyby niezmiernie obchodził ich każdy szelest w pobliżu.

Zgodnie i spokojnie kręcił się pośród nich wielki ezarny niedźwiedź amerykański, zwierzę rosy i silny, ale nad podziw potulny i łagodny a nawet cokolwiek bojaźliwy, bo mając do zbytku soczystych roślin, owoców i jagód, gardzi pokarmem mięsnym i nie liczy się bynajmniej do zwierząt drapieżnych. Podróżni widzieli, jak niektóre z nich snuły się pomiędzy trzcina obgryzając młode liście i korzonki, inne zaś wydrapywały się na wierzchołki wysokich do 80 stóp wiśni wirgińskich (*Ceratus virginianus*) i obrywały dojrzewające właśnie jagody. Odłamywały zazwyczaj najzresztsze gałęzie i zrzucały na ziemię, aby je potem wygodniej otrząsać z jagód.

Na innych drzewach lśniły do słońca rozmaitością swych barw roje papug, których przeraźliwe wrzaski przygłuszały nawet ryk bawołów. Od czasu do czasu odzywały się inne głosy ptasie, wnet zaskrzeczała hałaśliwa sroka, wnet zatętnił szczególnie śpiew amerykańskiej pokrzywki.

Spokojne to pożycie zwierząt miały zakłócić niebawem strzały naszych podróżnych. Nasyciwszy się widokiem ze szczytu góry, umyślili zejść na dół i zaopatrzyć się w zwierzynę na wieczere. Nie zważając bynajmniej na tłumy jeleni, zdumionych i przestraszonych nagłym widokiem tak niespodzianych gości, szukali podróżni odosobnionego od trzody bawoła. Natrafili też niebawem na jednego, który past się na boku trzody, a posłyszawszy nagły szelest w pobliżu, obrócił swą kesmą,

grzywiastą głowę, i zdumiony i przestraszony wypatrzył się na niezbażonych natrętów. Celny strzał z ręki Boonego ugodził go w sam środek piersi.

Zwierz z dzikim jękiem powalił się od razu na ziemię, a niesłychany popłoch ogarnął całą trzodę, która uciekając z przeraźliwym rykiem z pastwiska, pociągnęła za sobą niemniej przestraszonych wystrzałem jeleni i niedźwiedzi.

Bawoły scisnęły się w jedną gęstą kupę i pędziły wprost przed siebie, jelenie i niedźwiedzie rozbiegły się na wszystkie strony, a długo jeszcze słyhać było głuchy tentent kopyt, łomotanie trzciny i szelest potracanych w biegu większych drzew.

Na zabitego bawoła spuścił się tymczasem jeden sęp, i wbijając swe straszne szpony w boki zwierzęcia, jał dziobem zdzierać zeń skórę. Za przykładem jednego zleciało się niebawem więcej sępów, i nuz zabierać się chciały do pożądanej uczty.

Lecz tymczasem nadeszli i nasi podróżni, a spłoszwszy zarłoczne ptactwo, zaczęły ściągać skórę z ubitego zwierza. Finley wyłupywał mu swym tomahakiem kości u nóg, pełne wyborowego szpiku, a Boone wykroił ozór i mięso na garbie, najsmaczniejsze części z całego bawoła. Resztki mięsa pozostały na pastwę sępom, które niebawem chmurą spuściły się na opuszczoną zdobycz. Gromady sępów, co nie mogły już znaleźć miejsca na tułowie zwierza, krazyły w powietrzu, a jak tylko nasycił się który z dawniej przybyłych, pędziło zaraz kilka innych zająć jego miejsce.

Na chwilę jednak przerwała się uczta zarłocznego ptactwa. Kilka wilków wypadło z gestwiny, bo i one podobnie jak sępy towarzyszą zawsze trzodom bawolim. Na widok nieproszonych gości, podniosła się cała czeru ptaków groźnie w powietrze, gotowa w każdej chwili z szponami i dziobami rzucić się na przeciwników. Ze wszystkich stron zlatywało się coraz więcej sępów, a biedne wilki poznały rychło, że nie zdołają przeważnym siłom skrzydlatych wrogów, i wyjąc usunęły się z pola. Wtedy na nowo zaczęła się uczta, a w pół godziny ujrzeni zaczajeni w pobliżu skwaterowie, samą tylko kupę najzupełniej nagięli kości.

Dopiero nazajutrz puscili się nasi wędrowcy w dalszą podróż, ufając coraz więcej zapewnieniom Finleya, który co krok obiecywał

im nowe dziwa natury. Przebywszy wkrótce mały strumyk, wpadający w rzekę Kentucky, ujrzeni się w prześlicznej okolicy, która dziś jeszcze dla swej błogosławionej urodzajności zwie się powszechnie ogrodem Kentucky, lubo nie sama jedna na to zaszczytne zasługuje miano.

Wysokie, rozłożyste drzewa stały tak daleko jedno od drugiego, że na jednym morgu nie znajdowało się więcej jak dwadzieścia. Pomiedzy niemi wybujała trzcina nieraz do wysokości 12 stóp. Takzwany orzech Hickory (*Juglans laciniosa*), piął się na 80 stóp wysoko, rozpuszczając dopiero na samym szczycie bujne konary i gałęzie. Przewyższał go jeszcze wzrostem amerykański wiał (*Ulmus americana*), szczególniejsze drzewo co zawsze z czterech głównych konarów, po cztery mniejsze wypuszcza gałęzie i jak baldachim rozwiera się nad polem swoim. Wspinała przedstawiły się także rozmaite rodzaje dębów, mianowicie najpiękniejszy i najbujniejszy ze wszystkich dęb biały (*Quercus macrocarpa*), wysoki dąb farbiarski (*Quercus tinctoria*), z długimi, horyzontalnymi gałęziami i żółty dąb (*Quercus prinus acuminata*), z wychylonemi naprzód konarami. Wirgińskie drzewo daktylowe (*Diospyros virginiana*), połyskiwało do słońca swem jasnożółtym kwieciem z pośród złotych liści zielonych. Trzcina cukrowa znajdowała się tu w tak wielkiej obfitości, że późniejsi koloniści nadawali całemu obszarom ziemi, nazwę ziemi cukrowej (*Sugar field*).

Zwierząt znajdowało się wszędzie bez liku, a im dalej szli podróżni na północ, tem więcej jeszcze wzrastała ich bajeczna ilość. We wszystkich stronach i kierunkach pasły się nieprzeliczone stada bawołów i jeleni, kiedy-niekiedy wysuwały się i wilki polując po kilka lub pojedynczo na jakie oddalone od głównej trzody zwierzę.

Gałęzie niektórych drzew uginały się pod rojami dropiów, których ciemno-żółte pióra z szkarłatnymi smugami na grzbiecie i skrzydłach szczególnie jakoś odbijały od gęstych brązowego koloru ogonów. Wirgińskie przepiórki (*Ortyx virginiana*), piękne, żywe i wesołe ptaki nie bardzo lękały się podróżnych i dopiero po niejakiem namyśle ustępowały im z drogi.

Boone i jego towarzysze nie zatrzymywali się długo w tej prześlicznej okolicy. Puściwszy

się po krótkim wypoczynku dalej, natrafili na grzeskie bagna, przesiąknięte ropą solną, która się wydobywała z kilku źródeł. Takich bagien było kilka w Kentucky, a zawsze oblegały je trzody bawołów i innych zwierząt, łakomych na sól. Późniejsi osadnicy nazywali takie miejsca: „Salt licks.“

Podróżni lękali się przechodzić śród bagien i obrali inną nieco dalszą drogę. Stanęli niebawem na małym pagórku, zkad wygodnie mogli się przypatrzeć dziwnemu widowisku w około solnych bagien. Stada zwierząt przybywały i odchodziły zlizywać solną ropę, jedna trzoda rugowała drugą, a żadna długo nie mogła bawić w miejscu, bo brak wszelkiej trawy i wszelkiego cienia w pobliżu zniechęcał do rychłego odwrotu.

Bezustanny natłok zwierząt sprawiał nieznośny gwar w całej okolicy, a dopiero późno w nocy uspakajało się cokolwiek.

Podróżni ułożyli się do snu na pagórku a jak zawsze, czuwał jeden na straży. Całą noc odzywało się w pobliżu wycie wilków, ale to nie przeszkadzało naszym wędrowcom we śnie. Dopiero nad ranem obudził ich przeraźliwy, nieprzyjemny, syczący krzyk z kilku tysięcy gardziol naraz.

Byłto nieprzeliczony rój papug, które podobnie jak przelotne gołębie i inne ptaki, lubią tykać słoną wodę. Kiedy też wszystkie spuściły się na ziemię, wydawał się cały obszar okryty w jednej chwili kobiercem o najpiękniejszych barwach.

Nasyciwszy się solną ropą wznosiła się gromada po gromadzie w powietrze i obsiadła wszystkie drzewa na pagórku, gdzie znajdowali się nasi skwaterowie.

Tuż za papugami nadciągnęła trzoda jeleni, ale nie długo zabawiła w pobliżu bagien.

Splotzył ją niebawem donośny, przeraźliwy krzyk sinych kawek (*Corvus cristatus*) zwanych także trębaczami, które wielki mają upodobanie tworzyć swym wrzaskiem inne zwierzęta. Az śmiech zbierał patrzeć, jak przed pięcią czy sześcią takich kawek umykało w beztadnym popłochu całe stado jeleni.

Różne inne niemniej ciekawe i powabne sceny z życia zwierzęcego przesunęły się przed oczy zdumionych podróżnych, którzy tymczasem w dalszą pucili się drogę.

(d. c. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

Jan Trzeci pozwala, aby Ormian w Cechu Złotniczym Lwowskim więcej niż czterech zostawało.

Jan Trzeci z Bozey Łaski Król Polski, Wielki Xiążę Litewski Ruski i Pruski Mazowiecki Zmudzki Kijowski Wołyński Podolski, Podlaski, Inflantski, Smolenski, Siewierski, Czerniechowski.

Oznajmujemy tym listem przywilem Naszym wszem w obec y każdemu zosobna, komu to wiedzieć należy, Iz My idąc za przykłade(m) Naiasniejszych Antecessorow Naszych, u których to, pierwsze in *Votis* znaydowało Mieysce, aby Miasta w dobrych porządkach, które są *anima rerum* zostawały. Dla których pro *qualitate* czasu, y nadane *approbawali* *privilegia*; y *approbowanych*, czasem niektore punkta, abo *ex occasione* in *melius*, abo *ex necessitate Causae*, *elucidowali*, *odmieniali*, *reformowali*, lubo *tez* *caute* *zuosili*. Rzecz *pozyteczną* *niemniej* *iako* y *potrzebną* *Miastu* *Naszemu* *Lwowu* *widziemy*, aby jako *cała* *in genere* *Nacia* *Ormianska*, *Stateczną* *ku* *tey* *Rzeczypospolitey*, *od* *kilku* *sett* *lat* *stynąca* *Zyczliwością*, *Wierze* *także* *S. katolickiey* *coadunata*, *do* *wszystkich* *Mieyskich* *Lwowskich* *przypuszczona* *i* *przyrownana* *została* *praw* y *praerogatiw*; *tak* *aby* y *Złotnicy* *Ormianscy* *in* *specie*, *żadney* *niepodlegali* *circumscriciey*, *ale* *zarowno* *z* *Nacją* *Ritus* *Romani*, *nadanemi* *cieszili* *się* *prawami* y *wolnościami*. *Przeto* *Uważając* *wspomnioną* *od* *kilku* *sett* *lat* *zyczliwość*, *męstwo* *i* *odwage* *w* *defensiey* *Miast*, *Kamiénca*, *Jazłowca*, *Lwowa* y *innych* *pogranicznych* *Fortec*, *oswiadczoną* *Ormianskiey* *Naciei* *Ludzi* *i* *Uważając* *z* *nich* *pożytek* *Miasta* *Naszego* *Lwowa*: y *tegoz* *Miasta*, *z* *Concurrenciey* y *osiadania* *Ormian*, *wielko* *ozdobę*: *a* *z* *ząd* *Conserwaciey* y *zachęcenia* *teyze* *Naciei* *do* *osiadania* *w* *Miastach* *Naszych* y *Rzeczypospolitey*, *oczewista* *potrzebe*: *Umyślisimy* *eadem* *plenitudine*, *którą* *mamy* *condere* *confirmareque* *leges* *et* *privilegia* *Artykuł* *ten* *przywileiow* *Konsztu* *Złotniczego* *Lwowskiego*, *którym* *circumscriptum* *aby* *cztyrech* *tylko*, *Ormianskiey* *Naciei* *Złotników* *w* *nim* *zostawało*, *interpretando* *na* *lepszą* y *Miasta*

y *Cechu* *pomienionego* *Stronę*, *tenze* *Artikuł* *ex* *rationibus* *legitimis* *znieść* y *skassować*: *iakoż*, *alys* *per* *omnia* *tych* *przywileiow* *salvis* *punctis* *et* *articulis*, *ten* *sam* *tylko*, *iako* *ozdobie* y *potrzebie* *Miasta* *Lwowa* *teraz* *praeiudikuiący*, *znosiemy*, *casuemy*, *annihiluemy* y *deklaruiemy*, *azebym* *ab* *hinc* *w* *Cechu* *tymze* *Złotniczym* *Lwowskim*, *nie* *cztyrech* *tylko* *Ormian*, *ale* *ile* *tego* *teraz* y *napotym* *być* *może* *Magistrami* *zostawali*, *bez* *wszelkich* *tak* *samego* *Cechu*, *iakoż* y *Magistratu* *tamecznego* *excepcy* y *Contradykey*, *sub* *Vadio* *dwoch* *Sett* *Czerwonych* *irremissibiliter* *Succumbendo*, y *przez* *Urodzone*(*go*) *Instigatora* *Koron*(*uego*) *w* *Sądach* *Naszych* *Zadwornych* *Vindicando*. *Declaruiemy* *przytym* y *postanawiamy* *iz* *przerzeczeni* *Złotnicy* *Magistrowie* *Ormianskiey* *Naciei*, *ile* *ich* *w* *Cechu* *będzie*, *każdy* *omnimodam* *habebit* *petestatem*, *Uczniow* *pro* *rei* *et* *temporis* *necessitate* *wyzwalać*, *Towarzyszow* *chować*, y *sami* *alternatim* *quotannis*, *z* *inszą* *Nacją* *zarowno* *osobliwie* *Ritus* *Romani* *przy* *kóždy* *Elekciey* *roczney*, *niepochybnie*, *iako* y *przedtym* *bywało*, *Cechmistrzami* *legitime* *obranami* *zostawać*, *którą* *to* *deklaracją* y *postanowieniem* *Naszym* *terazwiejszym*, *iako* *pomieniony* *Sam* *ten* *ieden* *Artikuł* *o* *cztyrech* *tylko* *Ormianach* *w* *Cechu* *Złotniczym* *znosiemy*; *tak* *wszystkie* *inne* *Artikuły* *Condicie* *praerogatiwy* y *prawa* *tegoz* *Cechu* *Złotniczego* *Lwowskiego*, *in* *toto* *Confirmuiemy*. *Co* *do* *wiadomości* *wszystkich*, *osobliwie* *Magistratu* *Lwowskiego*, y *Cechu* *Złotniczego* *tamecznego* *donożąc*; *mieć* *chcemy*, *aby* *pod* *Zakładem* *wyżej* *opisanym*, *tę* *Naszą* *decisją* *we* *wszystkim* *całe* *i* *nie* *naruszenie* *zachowali* *obserwowali* y *aby* *obserwowana* *od* *kozdego* *była* *Starali* *się*. *Co* *dla* *większey* *Wagi* *ręką* *Naszą* *podpisawszy*, *pieczęcią* *koronna* *stwierdzić* *kazalimy*. *Dan* *w* *Warszawie* *na* *Seymie* *Walnym* *koronnym* *dnia* *szóstego* *Miesiaca* *Czerwca* *Roku* *Rańskiego* *MDCLXXXV*. *1685*. *Panowania* *Naszego* *XI* (*11*) *Roku* *Jan* *Krol* *mp*.

Kluby londyńskie.

Anglia, dziedzina tyłu różnorodnych, szczególnych zwyczajów i instytucji, jest głównie także ojczyzną klubów. W Anglii najdalszy zakątek, najcichsza ustron nie może obejść się bez klubu, wszystkie stany i zawody, wszystkie warstwy i gałęzie społeczeństwa posiadają swoje własne, statutami objęte kluby, które nie są tylko towarzyską zabawą mają na względzie (jak na przykład podobne stowarzyszenia w innych krajach) ale zazwyczaj łączą także obok tego pewne dążności szlachetniejsze, pewne cele wyższe, polityczne, socyalne lub nawet religijne.

Najgłośniejsze i najznakomitsze kluby znajdują się oczywiście w Londynie i mieszczą się w przestronnych gmachach, urządzonych z największym przepychem i najwymyślniejszym komfortem. Słyna dziś przed innymi, prawdziwe ozdoby ołbrzymiej stolicy, gmachy klubów: *United-Service*, wzniesiony na wzór jednego z najświetniejszych budynków Wenecyi, gmach *Army-and-Navy*, klub dla oficerów armii i marynarki, dalej zbudowany na wzór pałacu Farnese w Rzymie gmach *Reform*-Klubu, ogromne zabudowania *Carlton*-, *Arthur*-, *Boothe*-, *Crockford*-, *White*-klubów, obszerny *Whittington*-Klub dla młodych kupców, rękodzielników, *Oriental*- i *Traveller*-klub dla osób co znaczne odbyły podróże, wreszcie *Parthenon*, *Erechtenon* i wiele innych.

Widząc wielką użyteczność niektórych klubów angielskich, chciały i inne narody zaprowadzić u siebie podobne urządzenia, wszakże pokazało się że jak tylko takie przesadzone kluby poddały się wpływowi obcej narodowości, i według obcych zastosowały się zwyczajów i obyczajów, postradały zaraz swój pierwotny charakter i wcale odmienną przybrały barwę. Jedyny pod tym względem wyjątek robi Północna Ameryka, gdzie przeważna liczba angielskich osadników sprzyja szczególnie rodzinnym instytucjom.

W Anglii przyczyniły się głównie do wzrostu i rozwoju klubów zamiłowanie w cichem pozyciu rodzinnem i ściśle ograniczone społeczeńskie stanowisko kobiety. Francuzi nie mogli nigdy rozmiłować się w klubach angielskich, raz że we wszystkich ich stosun-

kach towarzyskich kobiety wielką a często nawet przeważną odgrywają rolę, a powtórę, że ciche i jednostajne życie klubów nie odpowiada żywości charakteru.

W Anglii poparła także nie mało wzrost klubów nieograniczona wolałość osobista, jakiej na podstawie ustaw każdy bez wyjątku używa obywatel, dalej nawyknięcie do jawności i wielce rozwiniętego życia politycznego, które każdemu Anglikowi nadaje prawo zajmować się ważniejszymi sprawami państwa, a nawet dążyć za osiągnięciem własnych, odrębnych zamiarów politycznych.

W niniejszym artykule chcemy mówić głównie o jednym tylko klubie, o klubie podróży czyli *Travellers-Club*, który od chwili swego zawiązania kilkakrotnie przechodził zmiany.

Pierwszym warunkiem przyjęcia do klubu było to, że każdy kandydat musiał przynajmniej jedną znaczną odbyć podróż. Wszakże niebawem okazało się, że potrzeba ściślejzego pod tym względem określenia.

Znaczna część mieszkańców Londynu znajduje się prawie zawsze w podróży, a że każdy Anglik musi być koniecznie członkiem jakiegoś klubu, więc można sobie wyobrazić, jak wielu co chwila musiało się zgłaszać kandydatów. Przyszło do tego, że klub groził rozwiązać się jedynie dla zbytniego przepelnienia.

Zwołane na razie jeneralne zgromadzenie członków, przyjęło w tem niebezpieczeństwie jednogłośnie uchwałą wniosek przedłożonych:

„Nikt nie może być członkiem klubu, kto nie ujechał przynajmniej tysiąc mil.“

Mimo takiego obostrzenia klub ten liczy zawsze najwięcej członków, bo składa się z gentlemenów, co spleli swój obwozili po wszystkich klimatach i kończynach świata, z archeologów, co przeryli ziemię Włoch, Grecyi i Peruwii, z kapitanów na półzłodzie i dyletantów, co nie mając nic lepszego do czynienia pięć lub sześć razy objechali ziemię do koła, dalej z miłośników osobliwości, co przetrzaśli wszystkie zakątki cywilizowanego i niecywilizowanego świata, i wreszcie z wiel-

kiej liczby takzwanych turystów z powołania, co bezustannie jak ćmy snują się po kontynencie.

Jakiś czas utrzymywały się statuta klubu niezmiennie, żadnych nie napotykając przeszkód, lecz oto pewnego dnia, staje w biurze wydziału pewien znany w Londynie jegość i prosi o przyjęcie do klubu.

Przełożeni klubu spojrzeli po sobie zdziwieni i wstrzęśli głowami. Nareszcie po kilku chwilach wymownego milczenia ozwał się prezydent:

— Czy pan znasz statuta naszego klubu?

— Znam, sir.

— I chcesz być przyjętym do naszego grona?

— Pragnę tego usilnie.

— Ależ musisz wiedzieć, że nie przyjmujemy nikogo, kto...

— Kto nie zrobił przynajmniej tysiąc mil drogi w swem życiu. Wiem o tem bardzo dobrze.

— Ależ i my wiemy, żeś pan nigdy nie wyjeżdżał z Londynu i dla tego też...

— Nie będziecie mogli odmówić mi przyjęcia. Posłuchajcie tylko. Przed dziesięciu niespełna laty uczulem w sobie pierwsze zarody choroby, która wzmagając się coraz niebezpieczniej, groziła przerwać na zawsze pasmo dni moich. Mój lekarz radził mi robić wiele ruchu, bo nie widział już innego środka pomocy. Z zdaniem jego zgadzali się i wszyscy inni lekarze, których prosiłem o radę. Coż mi więc pozostało innego? Musiałem usłuchać i jak mi nakazano, przechadzałem się odtąd codziennie po śniadaniu zawsze całych dwie godziny. Życie moje zawisło od ścisłego przestrzegania tego przepisu, nie potrzebuję was więc upewniać, że zachowywałem go z jaknajwiększą punktualnością. Od dziesięciu lat nie opuściłem ani jednego poranku, zarówno śród naj-srozszej słoty jak i najpiękniejszej pogody przechadzałem się codziennie całych dwie godziny wielkim krokiem po Hydeparku. Jeśli wam na tem zależy, to wam niezwłocznie mnóstwo pisemnych i ustnych sprowadzę świadectw. Tymczasem raczcie obliczyć sami: przypuściwszy, że tylko cztery mile robiłem na godzinę, to w dziesięciu latach uszedłem zawsze 29.200 mil, a w ten sposób nie raz, ale 29 razy spełniłem warunek od którego zawisło przyjęcie.

Panowie przełożeni spojrzeli po sobie zadziwieni i zakłopotani, ale wiadomo z jak ścisłą surowością przestrzegają Anglicy litery swych ustaw, niepodobna było innym jakim punktem ustawy odeprzeć zarzutu podróżnego z Hydeparku, a więc należało go bez uporu przyjmując do klubu podróżników.

Lecz jeszcze tego samego dnia zwołano w opieszechu nowe jeneralne zgromadzenie wszystkich członków i jednomyślną uchwałą zmieniono w następujący sposób główny punkt ustawy:

„Nikt nie może być członkiem klubu, kto przynajmniej tysiąc mil nie ujechał poza granicami Anglii.“

Ale owo pewnego dnia zjawia się nowy kandydat i prosi o przyjęcie. W sprawach handlowych odbył przeszło 20 razy podróz z Dworu do Paryża, a obliczywszy drogę tam i nazad, wyprowadził że dopełnił najkompletniej przepisanego warunku przyjęcia. Przełożeni klubu znowu się zmieszali i zakłopotali, bo jużciż nie takich 1000 mil podróży miały statuta na myśli, lecz tego trudno było wyczytać z dosłownej treści paragrafu. Przyjęto też nowego członka, lecz zaraz na nowem walnem zgromadzeniu zaprowadzono trzecią z kolei zmianę w ustawach, a to: że wszelką podróz z powrotem nie liczy się wcale kandydatom klubu.

Wszakże i z tą nową zmianą głównego warunku przyjęcia nie zaspakaja jeszcze zupełnie urządzenie klubu. Odkąd sieć kolei żelaznych opasała całą Europę i tak wielce ułatwiła podróz, bardzo łatwo teraz ujechać tysiąc mil poza granicami Anglii, zdaje się też że klub będzie musiał niebawem de nowego przystąpić obostrzenia, jeśli zbytniemu nie zechce popaść przepelnieniu.

Ale w Londynie znajdują się także kluby, którym bynajmniej o żadne poważniejsze nie idzie cele, a nawet takie którym żadna rozsądna nie przewodniczy myśl.

Londyn nie wyczerpany od dawnych lat w wszelkiego rodzaju dziwactwa i osobliwości, znajdzie zawsze ludzi, którzy najdziwaczniemu przyklasną pomysłowi, z najdziwacznijszym złączą się przedsięwzięciem. To też za pierwszą lepszą podniętą zewnętrzną, przypadkową, zawiązują się w obrzynie stolicy kluby, o których istnieniu przyszyłoby nie wierzyć, gdyby przeciwne niezbite nie przekonywały dowody.

Podobnie jak w całej Europie istnieją stowarzyszenia wstrzemięzliwości, tak znowu znajdują się w Londynie kluby niewstrzemięzliwości do których najwyuzdańsi należą opilcy.

Taki klub zawiązał w r. 1817. sławny aktor angielski Edmund Kean, pod nazwą: *Royal-Gins*. Nie liczył on nigdy więcej nad 15 członków, bo przepisane próby dla kandydatów były niezmiernie trudne i pociągały nieraz śmierć za sobą. Potrzeba było naprzykład stojąc, jednym tchem wypić spory dzban wódki. Co roku wymierała połowa członków klubu, jedynie z skutków pijaństwa.

Lord Byron należał także do klubu *Royal-Gins*, a przepisana próba odbył nawet „z wielką przytomnością umysłu i niezwyčajną zimną krwią“, jak pisze jeden z jego biografów.

Kean posiadał jak wiadomo oswojonego lwa a i jego kazał przyjąć do klubu, bo niezmiernie lubił ogniste napoje i wypijał całe wiadra naraz. Byron chciał to samo zrobić z swym niedźwiedziem, ale nie udało się sztuka, bo biedny zwierz nie mógł przebyć przepisanej próby. Zdechł po kilku łykach mocnej wódki zwanej w Anglii *ginem*.

Jest także w Londynie klub garbatych, złożony z samych członków, co przynajmniej jeden garb dźwigają na plecach. Miejsce ich zebrania posiada mnogie odpowiednie swemu przeznaczeniu ozdoby mianowicie dużo portretów sławnych garbatych. Żaden prosty nie może stać w ich gronie; a aby zupełnie oddać się illuzji, i niespotkać się z żadnem

szyderczem sporzeniem, trzymają samych tylko garbatych służących.

Dawnemi czasy, opowiadają Swift i Addison, znajdował się w Londynie nawet klub wisielców. Założyło go kilkunastu rzezimieszków, którzy skazani na szubienicę, tylko zbiegiem różnych szczęśliwych wypadków uszli wyroku. Oczywiście, że szanowni członkowie nowego zebrania nie wyrzekali się wcale dawnych swych nałogów i nie porzucali dawnego rzemiosła, ale kradli, oszukiwali, rozbijali, ile się udało.

Schadzki swe naznaczali w jakimś osławionym szynku, któremu przyłożyli nazwę klubu. Z każdego zarobku musieli członkowie składać pewną część do wspólnej skarbnicy. Każdego skazanego na szubienicę „biedaka“, poczytywali za prowizorycznego członka klubu i mieli sobie za obowiązek nie szczędzić ani kosztów, ani trudów i zabiegów, aby zagrożonego koleżkę wybawić z rąk sprawiedliwości i zrobić rzeczywistym członkiem swego grona. Nieraz też udało im się w samej rzeczy dopiąć zamiaru, bądź pomagając z zuchwałą zręcznością do ucieczki skazanemu, bądź przekupując straż znacznymi sumami.

Nareszcie jakiś „niegodny łotrzyk“ dostał się do klubu, a ten nie wahał się zdradzić zacnego grona. Zwierżchność pochwyliła jednej nocy wszystkich członków klubu, a że już niebyło nikogo, co by pomógł do ucieczki skazanym na śmierć, więc wszyscy skończyli jednego dnia na szubienicy, usprawiedliwiają nazwę, jak sobie sami przyłożyli.

Poradnik miłości i Kodex dobrego tonu. Pod tym napisem wyszły świeżo w Paryżu dwa niewielkiej objętości dziełka, które niestychny znajdują pokup i doczekają się zapewne rychłego przekładu na inne języki europejskie. Która z pań chce być wiecznie piękną: znajdzie w pierwszym z nich wszystkie przepisy i recepty, jakie stary i nowy świat wynalazł ku zakonserwowaniu przekwitających wdzięków niewieścich. Z tej książki, wonejcej zdała makassarem, dowiedzą się czytelniczki, jakiegoto sekretu kosmetycznego używała żona Marka Aureliusza, co w tak późno lata umiała zachować swe powaby; dowiedzą się tudzież jak sekret ów, zapomniany zupełnie w kilku wiekach, dostał się następnie w posiadanie Dyany z Poitiers, czyli raczej jej perukarza, zawołanego podówczas mistrza w sztuce balsamowania żywych trupów. Zagłębiając się dalej w to ciekawe dzieło, znajdują czytelniczki mnóstwo innych rad i przepisów zbawiennych jak np. stosować kolor sukien do koloru nieba, dla czego tego a tego dnia ten a nie inny strój włożyć wypada, czemu niebezpiecznie

jest wchodzić do salonu, nie znając pierwiej barwy ścian jego; w jakim kierunku do światła należy się umieścić, ażeby stara wydała się młodą, rumiana błąd, błąd rumianą, chuda tłusta, tłusta szczupłą, garbata prostą itd. itd. Wykład jest tak jasny i prosty a dobitny i stanowczy, że kobieta w kwiecie wieku dowie się z radością, że nigdy nie zwiejdnie. podeszła zaś dama pojmie z rozpaczą, że jeżeli nie jest tak młodą i piękną jak Dyana de Poitiers w siedemdziesięciu latach, to tylko z tej jedynie przyczyny, że czarodziejska ta książka wyszła z druku pół wieku zapóźno. *Kodex dobrego tonu* uczy znowu młodzież francuską jak korzystnie przedstawić się płci pięknej, jak tańcować z wdziękiem, rozmawiać z dowcipem, ubierać się z gustem, jak chodzić śród tłoku a nie udeptać nikogo, jak wreszcie zachować się przyzwoicie w przyzwoitem towarzystwie. Ostatni ten rozdział — pisze jeden z dzienników francuskich — jest na prawdę dość potrzebny dzisiaj, kiedy reakcja czasów rycerskich wpadła w drugą ostateczność — w gburowatość w obcowaniu z kobietami.